

I do nikogo więcej. –J.

Jeśli go znajdziesz, nie otwieraj go przed grzmotem.

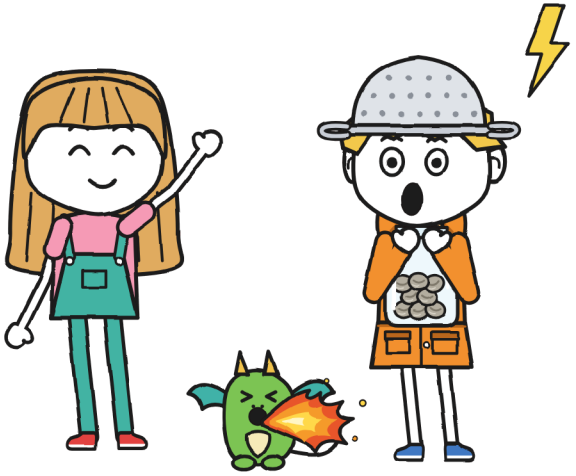


Ta pieczątka oznacza to, co zdarza się tylko w opowieści: ty tego nie rób. Jeśli trwa kilka stron, jest napisane OD TUTAJ i DO TUTAJ. W prawdziwej burzy obowiązuje ostatnia strona. –J.

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 2

Nie otwierać przed grzmotem

Lui Eriksson



ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 2

Nie otwierać przed grzmotem

Drugi tom serii. Pierwszy: „Ta paczka gryzie”.

Tekst i ilustracje: Lui Eriksson

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

Wydanie pierwsze: 2026

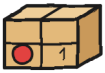
© 2026 Lui Eriksson · info@linguaula.com

Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com

Podczas pisania tej książki żaden grzmot nie ucierpiał. –].



ROZDZIAŁ 1

Łowca burz

W sklepie naprzeciwko jest paczka, która drży.

W zeszłą sobotę ruszyła się raz jedyny. Od tamtej pory nie przestała: drobne, ciągłe drżenie, jak u małego psa w poczekalni u weterynarza. Trwa to już siedem dni. Z każdym dniem trochę mocniej.

A ja mam nowy zeszyt.

Zeszyt nr 1 mi się skończył. Mara, właścicielka Niemożliwych Dostaw, dała mi ten: z niebieską okładką i czerwoną pieczątką sklepu w rogu. Na pierwszej stronie napisałem tytuł, z jednym nowym słowem:

ZESZYT DOSTAW 2 Guniego. OFICJALNY.

„Oficjalny" znaczy, że czytam go ja pierwsza. Oficjalnie. –].

Mara mówi, że oficjalnych zeszytów się nie rysuje. Zobaczymy: w tym już jest jeden rysunek.

Co trzeba wiedzieć o tamtym zeszycie: dwie soboty temu Julita (ta od zielonych notatek) i ja doręczyliśmy nocą, przez kładkę i bez żadnego dorosłego, jajko, którego nikt nie potrafił doręczyć od lat. Teraz to Kruszynka, smocz̨atko, które naśladuje mnie we wszystkim. Mara, czarownica ze sklepu, ukarała nas: w każdą sobotę tutaj, o dziesiątej. A ja jestem nowy w dzielnicy i prawie wszystko, co moje, nadal leży w pudłach.

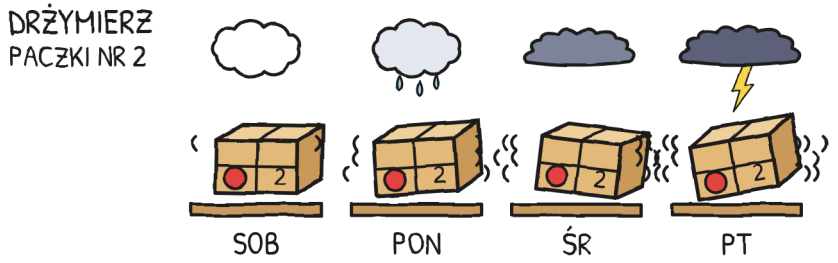
Ta, która drży, to nr 2. Stoi na regale ze zwrotami i ma etykietę, którą znam na pamięć: czytałem ją każdego popołudnia w tym tygodniu, na stojąco i bez dotykania, kiedy Mara udawała, że mnie nie widzi:

- NR 2 · OSTROŻNIE.
- DOKĄD: Flora, ul. Kanałowa 9.
- INSTRUKCJE: NIE OTWIERAĆ PRZED GRZMOTEM.
- NADAWCA: R.

Dookoła dwadzieścia trzy pieczątki ZWROT. Policzyłem je dwa razy, na wypadek gdyby któraś odpadła.

Zwrot to paczka, której nikt nie zdołał doręczyć: jeśli odbiorca nie podpisze jej tuszem, którego nie da się zmazać, o świcie wraca lotem na swój regał, rządkiem, jak kaczki. Zostało dziewiętnaście: napisane na ścianie na zielono pismem Julity, a to, co Julita napisze na zielono, się nie zmazuje. Wszystkie wysyła ta sama osoba, R., o której wiadomo tylko, że ma bardzo brzydkie pismo.

Każdego popołudnia zapisywałem, jak mocno drży i jaka jest pogoda: tak powstał DRŻYMIERZ PACZKI NR 2. W piątek chmura miała w sobie błyskawicę.



Nie drży ze strachu: idzie burza, w sobotę o szóstej wieczorem. Sprawdziłam w prognozie sześć razy. —J.

Przeczytałem tę notatkę dwa razy. Za drugim razem tylko fragment o szóstej.



W sobotę o dziesiątej Mara — w fioletowym kapeluszu, z pieczątką sypiącą iskrami o zapachu zgaszonej świecy — czekała na nas za ladą z paczką nr 2 w rękach. Nie na regale: w rękach. Obok pieczątki leżała gumowa żaba, moja od chwili, gdy przestała należeć do nikogo. Tonio, kurier BŁYSKAWICY, stał w kasku: w soboty też odrabia karę, a Tonio odrabia kary tak, jak rozwozi: punktualnie i niczego z siebie nie zdejmując.

— Dwadzieścia trzy razy sama ją nosiłam — powiedziała Mara. — I ani razu w czasie burzy.

Mara przesunęła kciukiem po etykiecie. Spojrzałem na witrynę, z każdą chwilą szarszą: dzisiejsza wyprawa nie będzie taka jak poprzednie.

— Tę — oznajmiła Mara — doręczycie wy. Dziś po południu.

Julita podskoczyła tak wysoko, że prawie dotknęła napisu ZOSTAŁO 19, a gdy opadła, już mówiła. Ja nie podskoczyłem: zostałem z dwoma słowami, „dziś po południu", i z godziną, szóstą, która ważyła więcej niż paczka.



Mara postawiła trzy warunki i odliczyła je na palcach:

1. Wychodzicie o piątej, zanim nadejdzie burza, i zostajecie u Flory, dopóki nie przejdzie.
2. Wasze rodziny już wiedzą, Flora też.
3. Zasada jest ta z etykiety: nie otwierać przed grzmotem. I to musi być grzmot nad głowami: te z daleka się nie liczą.

Rozpoznałem sztuczkę: to były prawie te same zasady, co po awanturze u Wery, opiekunki Kruszynki, tylko podane przed, a nie po. Mary przy tamtej awanturze nie było, a i tak się o niej dowiedziała: w tej dzielnicy awantury docierają szybciej niż paczki.

— A ty nie idziesz? — zapytała Julita.

— Ja mam tu coś do zrobienia — powiedziała Mara i spojrzała przez witrynę na niebo, które robiło się szare.

Na końcu lady leżał złożony koc, nauszniki narciarskie i rondel. Widziałem to wszystko. Patrzyłem dalej na paczkę.

Wtedy Julita spojrzała na mnie.

— A ty lubisz burze?

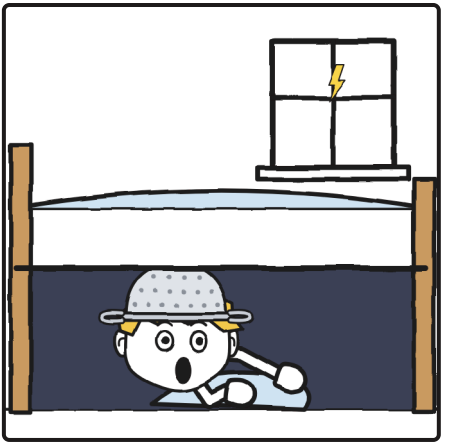
Zapytała, patrząc prosto na mnie. Mogłem powiedzieć prawdę. Powiedziałem to:

— Uwielbiam. W mojej dawnej dzielnicy byłem profesjonalnym łowcą burz.

W tamtym zeszycie kłamstwo wracało dzień i noc. W tym postanowiłem skrócić mu drogę: narysowałem kłamstwo jeszcze tego samego ranka, a w sąsiednim kadrze prawdę.

Durszlak był kuchenny, stalowy, z dwoma uchwytami. Nie zatrzymywał piorunów. Mnie pomagało mieć coś na głowie. Teraz tkwił w jakimś pudle z przeprowadzki, obok nożyczek, których mama szukała od tygodnia.





Julita nauczyła mnie liczyć burzę. W moim zeszycie, bez pytania o pozwolenie i na zielono.

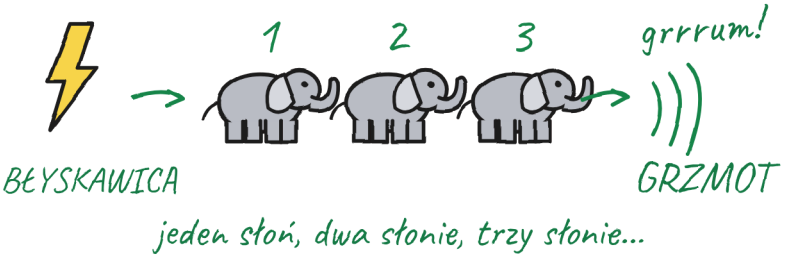
Liczy się od błyskawicy do grzmotu, w słoniach: „jeden słoń" trwa mniej więcej sekundę, a co trzy to kilometr. W ten sposób wiadomo, mniej więcej, jak daleko uderzył piorun; gdzie uderzy następny — nie. Liczenie nie mówi też, kiedy można wyjść, a to, według Julity, jest już inna zasada, bez rysunku: pół godziny od ostatniego grzmotu.

Spróbowałem po cichu i wyszły mi słonie superszybkie, takie, które się do niczego nie nadają. Ja niczego nie musiałem liczyć, bo ja uwielbiam burze, ale zapisałem, na wszelki wypadek.

Tonio przeczytał etykietę przez moje ramię, tak jak czyta wszystko, co nie jest jego.

— BŁYSKAWICA nie rozwozi w burzę — powiedział i pokazał nam drobny druk na swoim żółtym plecaku: PRZESYŁKI

BŁYSKAWICA · W DZIESIĘĆ MINUT ALBO ZA DARMO i, przez lupę Julity, gwiazdkę: *Chyba że burza.



— Burzy jeszcze nie ma — zauważyła Julita.

Tonio przeczytał drobny druk jeszcze raz, czy nie ma w nim czegoś o „jeszcze". Nie było nic.

Więc Tonio poszedł z nami. Słonie liczy jednym tchem, „razdwatrzy!", jakby to był rozwóz. Według Tonia wszystkie burze są o kilometr stąd. Nie wiem, czy to odwaga, czy brak słoni.

O piątej skoczyłem do domu po płaszcz przeciwdeszczowy; Julita czekała w bramie. Mama czekała w drzwiach mieszkania z płaszczem zwisającym z ręki. Ma teorię o pomarańczowym: że widać go z daleka. Nigdy nie wiedziałem, skąd zamierza patrzeć.

— Włóż pomarańczowy — powiedziała. — Na pewno chcesz iść? Przecież ty, jak grzmi...

— PA, MAMO!

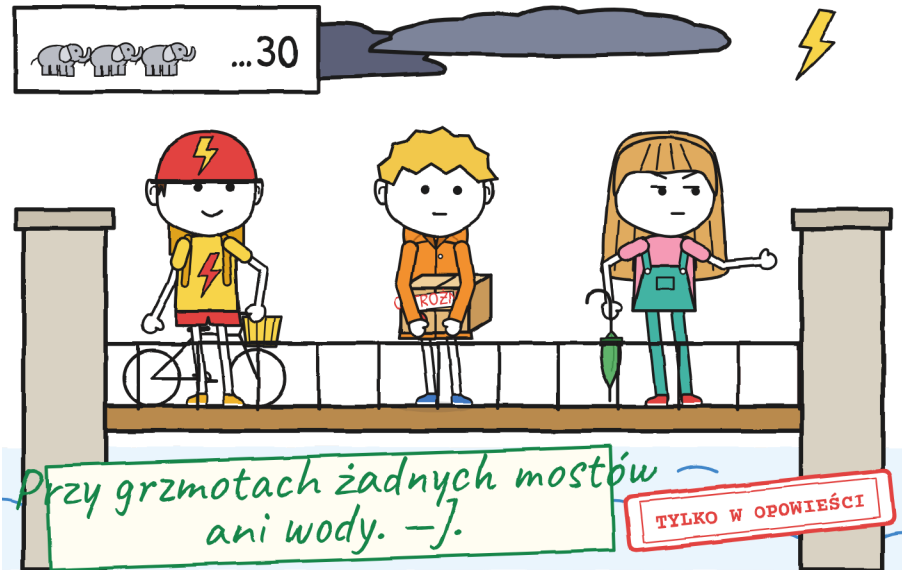
Zbiegłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Obliczyłem, że przy echu w klatce połowa zdania mamy zgubi się po drodze. Nie zgubiła się. Julita czekała na dole.

„Przecież ty, jak grzmi..." CO? –J.

Przeszliśmy przez Wielki Most z niebem coraz czarniejszym. Nocą go podnoszą, żeby przepuścić statki; w dzień przechodzą nim wszyscy, a o tej porze szliśmy tylko my i pewien pan, który spieszył się w przeciwną stronę, czyli w dobrą, kiedy nadchodzi burza. Niosłem paczkę nr 2 oburącz, bardzo prosto. Tonio prowadził rower: nigdy nie widziałem, żeby BŁYSKAWICA jechała tak wolno, nie będąc zgubioną.

Na środku Julita pomachała wodzie krótko, sucho, bez uśmiechu, jak komuś, kogo się nie lubi. Robi tak od nocy na kładce. Chyba taka jest umowa: ona macha, a woda ją przepuszcza.

Daleko rozjaśniło się niebo.



Mignęło za chmurami, bez dźwięku, jak wtedy, gdy ktoś zapala i gasi światło w pokoju, w którym cię nie ma. Julita stanęła jak wryta i po cichu liczyła słonie, z zamkniętymi oczami. Doliczyła do trzydziestu, zanim cokolwiek usłyszała. Ja liczyłem razem z nią, w środku, swoimi superszybkimi słoniami, i wyszło mi czterdzieści dwa.

Grrrum.

— Jakieś dziesięć kilometrów do tej błyskawicy — oceniła. — Według prognozy burza ma być o szóstej.

— Zagrzmiało! — wykrzyknął Tonio. — Można już otwierać?

— Do otwierania paczki ten się nie liczy — powiedziała Julita, nie otwierając oczu. — To dziesięć kilometrów stąd; ten z

etykiety jest nad głową: zero słoni. Ale już słychać grzmot, więc pod dach! Biegiem!

Pobiegłem do ulicy Kanałowej, udając, że niczego nie słyszałem. Ani grrrum, ani tej szóstej.

— Czy to było HYK? — zapytała Julita, nie zwalniając kroku.

— Nie — powiedziałem. — HYK!



Tonio zgiął się nad kierownicą i śmiał się tak, że rower odjechał mu w bok. Julita się nie śmiała. Zmrużyła oczy, jak wtedy, gdy czyta coś, czego nie napisano.

Grzmot, czknięcie: mam tak od małego. Jeśli burza jest daleko, na jednym się kończy; jeśli nad głową, przychodzi drugie i trzecie, co trzy sekundy, aż sobie pójdzie. To nie strach. To coś, co robi moje ciało bez pytania mnie o zdanie, jak rośnięcie albo kichanie, i tak jak rośnięcia, nie da się tego zatrzymać, robiąc minę. Wiem, bo próbowałem ze wszystkimi minami.

To się nazywa strach. –].

Na ulicy Kanałowej Wera, ta z rudymi włosami, już czekała przy drzwiach Domu Smoków, tuż obok drzwi Flory, z Kruszynką na rękach. Kruszynka, gdy tylko mnie zobaczyła, zrobiła moją minę: robi tak zawsze, patrzy na mnie sekundę, sprawdza, jaką mam minę, i ją przybiera.

Postawiłem paczkę nr 2 w koszyku roweru Tonia i otworzyłem ramiona.

— To jej pierwsza burza — powiedziała Wera i oddała mi ją w ramiona. — Naśladuje cię we wszystkim, Guni. Także w tym, co czujesz. Jeśli się przestraszy, nie ciągnij jej: ona się trzyma. Kiedy burza przejdzie, trzy uderzenia w murek na podwórku Flory, a ja po nią przyjdę.

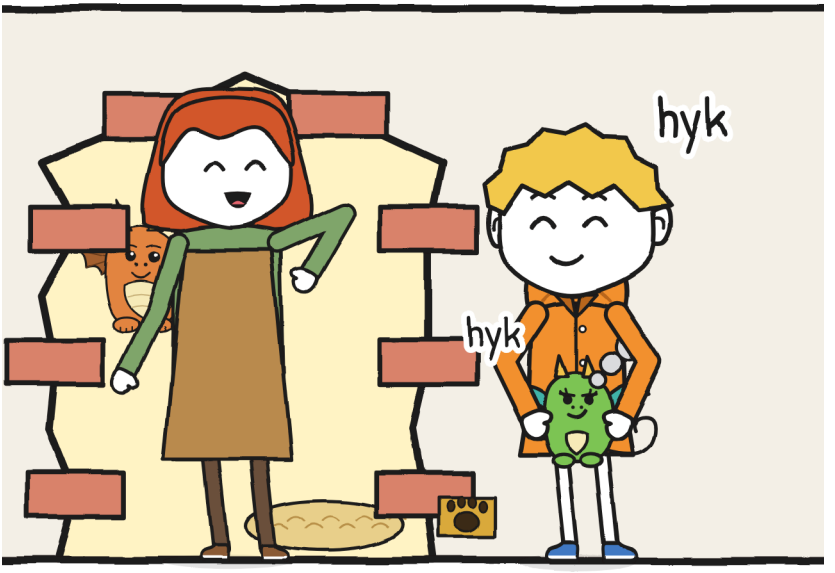
— Ja nic nie czuję — odpowiedziałem. — Ja uwielbiam burze.

Powiedziałem to z wypiętą piersią, a Kruszynka w moich ramionach wypięła pierś tak samo, z wyciągniętą szyją: żywy obraz kogoś, kto uwielbia burze, w dwóch rozmiarach. Wera spojrzała na nas oboje, jedno na drugim, z tą samą miną, i nic nie powiedziała. Wera zachowuje rzeczy na chwilę, kiedy będą potrzebne.

Daleko zagrzmiało. Ja czknąłem. Kruszynka czknęła i z nozdrzy poleciał jej dym.

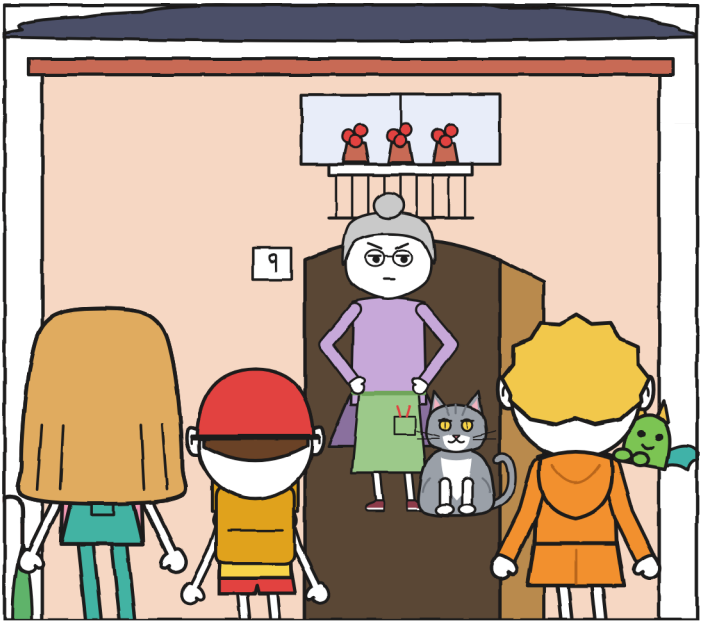
— Do środka, już! — ucięła Wera i popchnęła nas ku drzwiom Flory.

Dom Flory to ten z pelargoniami na balkonie, z którego jakaś pani przyglądała się nam dwie soboty temu, z konewką w powietrzu.



Otworzyła drzwi, zanim zapukaliśmy: starsza pani z siwym koczkiem i w okularach, w zielonym fartuchu ogrodniczki pełnym kieszeni, a między jej stopami szary kot z białą piersią, który spojrzał na nas jak na paczkę nie dla niego. Ona spojrzała na pudło. Spojrzała na niebo. Spojrzała na Kruszynkę. W tej kolejności, każdej rzeczy poświęcając tyle samo czasu, czyli niewiele.

— Smocząteko Wery. Niech mi nie przypali paproci — powiedziała. — Wchodźcie, bo idzie ulewa. Ale uprzedzam: ja nie podpisuję kamieni.



JEDNA HISTORIA, SZEŚĆ ROZMIARÓW

Ta książka istnieje w sześciu rozmiarach, dla dzieci od 3 do 16 lat, i w ponad 20 językach. XXS, XS, S, M i L opowiadają historię strona po stronie, na tych samych rysunkach i z coraz większą liczbą niuansów. XL to powieść: ta sama historia, z miejscem na wszystko, co Guni myśli, ale czego nie mówi.

Poziomy według ESOKJ są orientacyjne: XXS, pre-A1 · XS, A1 · S, A2 · M, B1 · L, B2 · XL, B2–C1.

Każdy w swoim rozmiarze. Ta sama burza. —J.

DLA RODZIN I NAUCZYCIELI

Pracuj nad każdym rozdziałem na linguaula.com (z ćwiczeniami z rozmiaru L)